



H.P. LOVECRAFT'S

COOL AIR

ZIMNO

H.P. LOVECRAFT

ZIMNO

(COOL AIR)





"He groped his way out with face tightly bandaged, and I never saw his eyes again."

Cool Air

By H. P. LOVECRAFT

A tale of dark science, and the ghastly mystery that enveloped the Spanish doctor's attempts at artificial refrigeration

ZIMNO

Prosicie, bym wyjaśnił, dlaczego obawiam się przeciągów, drzę bardziej niż ktoś inny, wchodząc do zimnego pokoju, a gdy chłód wieczoru wypiera ciepło spokojnego, jesiennego dnia, zaczynam odczuwać wyjątkową odrazę i mdłości podchodzą mi do gardła. Są tacy, którzy twierdzą, że reaguję na zimno jak inni na drażniący odór, i bynajmniej nie zamierzam temu zaprzeczać. Pragnę obecnie przedstawić najbardziej przerażające zdarzenie, jakie przytrafiło się w mym życiu, wam zaś pozostawiam dokonanie osądu, czy stanowi ono wystarczające wytłumaczenie moich dziwactw.

Błędem jest wyobrażanie sobie, że groza nierozzerwalnie wiąże się z ciemnością, ciszą i samotnością. Ja napotkałem ją w świetle popołudniowego słońca, pośród hałasu ruchliwej metropolii w obskurnej, zaniedbanej kamienicy czynszowej i nie byłem bynajmniej sam, lecz z prozaiczną, nudną właścicielką i dwoma silnymi, roslymi mężczyznami. Wiosną 1923 roku podjąłem pracę w redakcji pewnego taniego, słabo się sprzedającego czasopisma w Nowym Jorku i nie mogąc uiszczać opłat za czynsz, zmuszony byłem krążyć od jednego taniego lokum do drugiego, w poszukiwaniu pokoju, który byłby w miarę zadbany, czysty i niezbyt drogi, a na dodatek umeblowany. Wkrótce przekonałem się, że mogę co najwyżej wybierać pomiędzy różnymi odmianami zła, aż pewnego dnia natknąłem się na dom przy Czternastej Zachodniej i wzbudził on we mnie mniejszą odrazę niż pozostałe.

Był to *trzy piętrowy* budynek z piaskowca, pochodzący z końca lat czterdziestych, wyłożony boazerią i marmurem, którego przyćmiony teraz nieco splendor zdawał się świadczyć o dawnej świetności. W pokojach, dużych, przestronnych, ozdobionych niezwykle tapetą i groteskowo ornamentowanymi stiukowymi karnesami czuć było przytłaczającą woń wilgoci i niemożliwy do określenia zapach jakichś potraw. Podłogi były czyste, pościel względnie porządna, a woda dostatecznie ciepła i rzadko wyłączana, tak więc uznałem to miejsce za dogodne do zahibernowania się w nim do czasu, aż uda mi się znów stanąć na nogi. Właścicielka, niechlujna, niemal brodata Hiszpanka nazwiskiem Herrero, nie zamęczała mnie plotkami i nie miała pretensji, że zbyt długo paliłem światło w swoim pokoju na drugim piętrze od frontu, moi współmieszkańcy zaś okazali się spokojnymi, cichymi, nie szukającymi wrażeń, stroniącymi od ludzi Latynosami o dość prymitywnej, niewymagającej naturze. Drażnić mógł jedynie hałas samochodów przejeżdżających ulicą.

Mieszkalem tam około trzech tygodni, kiedy wydarzył się pierwszy osobliwy incydent. Pewnego wieczoru około ósmej usłyszałem kapanie kropeł na podłogę i uświadomiłem sobie, że już od pewnego czasu czuję drażniący odór amoniaku. Unosząc wzrok, ujrzałem, że sufit był mokry i przeciekał. Zalanie musiało nastąpić w kącie od strony ulicy. Pragnąc zapobiec niebezpieczeństwu, pospieszyłem do sutereny, by powiadomić właścicielkę, ta zaś zapewniła mnie, iż problem niebawem zostanie zażegnany.

– Dochter Munoz – zawołała, wbiegając przede mną po schodach – musiał rozlać swoje chymikalia. Jest za chory, aby samemu chodzić do lykarzy – stale się jemu pogarsza – ale ni życzy sobie żadnej pomocy. Muszem rzeknąć, że jest bardzo wydziwny w swojej chorobie – cały dzień bierze dziwnie pachnące kompiele, nie wolno się jemu denerwować ani

przegrzewać. Sam sobie prząta – w jego małym mieszkaniu jest pełno butelek i machin – i nie pracuje jako doktor. Ale kiedyś był wielgi, mój ojciec w Barcelonie słyszał o niem – a jeszcze ni tak dawno wyleczył rękę hydraulikowi, który nagle zachorzał. Nigdy nie wychodzi, tylko na dach, a mój chłopak, Estaban, przynosi jemu jedzenie, pranie, lekarstwa i chymikalia. Mój Boże, tyn alamoniak on używa, coby siem schładzać!

Pani Herrero znikła na schodach prowadzących na trzecie piętro, a ja wróciłem do swojego pokoju. Amoniak przestał się sączyć, wytarłem powstałą kałużę i otworzyłem okno, aby przewietrzyć pokój. W chwilę potem usłyszałem ciężkie kroki właścicielki w pokoju powyżej. Doktora Munozą nigdy nie słyszałem, z wyjątkiem odgłosów wydawanych przez jakieś znajdujące się w jego pokoju urządzenie mechaniczne, stapał bowiem łagodnie i miękko.

Zastanawiałem się przez chwilę, na jaką nietypową chorobę mógł cierpieć ów mężczyzna i czy upór, z jakim odmawiał pomocy z zewnątrz, nie był czasem spowodowany bezpodstawną ekscentrycznością. Wybitne osobistości tego świata często charakteryzują się nadmiernym patosem.

Mógłbym nigdy nie poznać doktora Munozą, gdyby nie atak serca, który dosięgnął mnie niespodziewanie pewnego przedpołudnia, gdy siedziałem, pisząc, w swoim pokoju. Lekarze ostrzegali mnie przed tym zagrożeniem, a ja wiedziałem, że nie mam czasu do stracenia. Przypominając sobie, co właścicielka powiedziała o pomocy udzielonej przez inwalidę choremu robotnikowi, wdrapałem się na górę i niezdarnie zapukałem do drzwi pokoju znajdującego się bezpośrednio nad moim. W odpowiedzi usłyszałem dobiegający nieco z prawej strony silny głos, który doskonałym angielskim zapytał, kim jestem i co mnie tu sprowadziło. Kiedy to wyjaśniłem, drzwi, obok tych, przed którymi stałem, uchyliły się nieznacznie.

Powitał mnie powiew zimnego powietrza, i choć ów późny czerwcowy dzień był jednym z najgorętszych tego roku, zadygotałem, przestępując próg i wchodząc do olbrzymiego apartamentu, którego bogaty, urządzone ze smakiem wystrój zdumiał mnie w porównaniu z resztą zaniedbanej i ogólnie dość nędznej czynszówki. Składana kanapa pełniła obecnie rolę dziennej sofy, a mahoniowe meble, okazałe draperie, stare obrazy i wytworne regały na książki zdradzały, już na pierwszy rzut oka, iż znalazłem się w pracowni dżentelmena, a nie, jak sądziłem, w sypialni kamienicy czynszowej. Przekonałem się teraz, że „mały pokoik” znajdujący się bezpośrednio nad moim, pełen butelek i maszyn, o których wspomniała pani Herrero, był, najkrócej mówiąc, laboratorium doktora; salon zaś urządzone był w przestronnym pokoju sąsiednim, gdzie wygodne nisze i okazała, przyległa łazienka mieściły wszelkie potrzebne mu rzeczy, sprzęty i urządzenia.

Doktor Munoz musiał być bez wątpienia człowiekiem wysokiego urodzenia, wyznającym przeróżne tradycje i dyskryminacje. Postać przede mną była niska, lecz wybornie proporcjonalna i przyodziana w strój zdradzający doskonale dopasowanie i krój. Arystokratyczne oblicze, pozbawione jednak aroganckiego wyrazu, zdobiła krótka, stalowoszara broda i staroświeckie pincenez. Oczy były żywe i ciemne, a orli nos nadawał fizjonomii arabskiego akcentu, choć reszta rysów była bez wątpienia celtycka. Gęste, starannie przycięte włosy świadczące o regularnych wizytach fryzjera zgrabnie rozdzielały się nad wysokim czołem, cały obraz zaś mówił wyraźnie o zdumiewającej inteligencji, wysokim urodzeniu i błękitnej krwi płynącej w żyłach tego człowieka.

Mimo to kiedy ujrzałem doktora Munozę w podmuchu zimnego powietrza, poczułem odrazę, której nie mógł usprawiedliwić żaden szczegół jego wyglądu czy zachowania. Jedynie jego chorobliwie blada cera i chłód

dotyku mogły stanowić powód owego odczucia, ale nawet powyższe mankamenty powinny być wybaczone, z uwagi na inwalidztwo owego człowieka. Być może ten właśnie chłód był przyczyną silnej odrazy, zimno wydało mi się bowiem nienormalne w tak upalny dzień, a to, co anormalne, zwykle powoduje niechęć, nieufność i strach.

Niemniej jednak już wkrótce odraza prysła, przesłonięta podziwem, gdyż dziwny lekarz od razu ujawnił swe wyjątkowe zdolności zawodowe, pomimo lodowatego zimna i drżenia dłoni, które sprawiały wrażenie, jakby zupełnie odsączono je z krwi. Najwyraźniej na pierwszy rzut oka zrozumiał me potrzeby i udzielił pomocy z mistrzowską wprawą. Jednocześnie niezwykle modulowanym głosem, aczkolwiek dziwnie pustym i pozbawionym tembru, zapewnił mnie, że był najzagorzalszym spośród przeciwników śmierci i utracił całą fortunę oraz wszystkich przyjaciół, prowadząc wieloletni eksperyment, dzieło swego życia, mający na celu jej ostateczne pokonanie. Miał w sobie coś z zagorzałego fanatyka i stał się niemal uciążliwie gadatliwy, gdy osłuchiwał moją klatkę piersiową, a potem przygotował mieszankę jakichś leków przyniesionych z mniejszego pokoju laboratoryjnego. Najwyraźniej towarzystwo dobrze urodzonego mężczyzny było dlań w tym obskurnym miejscu przyjemną odmianą i pod wpływem fali wspomnień z dawnych, lepszych dni rozwiązał mu się język.

Jego głos, mimo iż dziwny, miał kojący wpływ, nawet nie czułem powiewu oddechu, gdy potok słów wypływał nieprzerwanie spomiędzy jego ust. Starał się odwrócić mą uwagę od ataku, opowiadając o swoich teoriach i eksperymentach. Pamiętam, jak taktownie pocieszał mnie, mówiąc o moim słabym sercu, i z uporem maniaka twierdził, iż wola oraz świadomość są silniejsze niż życie organiczne samo w sobie, tak więc, gdyby cielesną powłokę utrzymywano w doskonałym zdrowiu i starannie konserwowano, dzięki pewnym nerwowym wzmocnieniom wymienionych

właściwości, można by osiągnąć całkiem wysoki stopień animacji nerwowej, i to pomimo najpoważniejszych urazów, defektów, czy wręcz braku większości kluczowych organów. Półzartem stwierdził, że któregoś dnia mógłby nauczyć mnie żyć – lub w każdym razie osiąść pewien poziom świadomej egzystencji – pomimo braku serca, jednego z najważniejszych ludzkich organów! Co się tyczy jego, cierpiał na rozliczne choroby wymagające szczególnego postępowania, w tym przebywania w stałym chłodzie. Każdy poważniejszy wzrost temperatury mógłby na dłuższą metę okazać się dlań fatalny, panujący zaś w mieszkaniu chłód, około 55–56° Fahrenheita, uzyskiwany był dzięki systemowi pochłaniania amoniakowego chłodziwa, owemu silnikowi spalinowemu, którego pracujące pompy słyszałem często w swoim pokoju poniżej.

Gdy w zdumiewająco krótkim czasie ustąpiły wszelkie objawy ataku, opuściłem mroźny apartament jako oddany uczeń i przyjaciel osobliwego odludka. Od tej pory okutany w gruby płaszcz często składałem mu wizyty, słuchałem, podczas gdy on opowiadał o swych sekretnych badaniach i nieomal upiornych rezultatach, a niejednokrotnie widziałem, że dygotał, gdy przeglądałem niekonwencjonalne i zdumiewające stare woluminy na półkach jego biblioteczki. Muszę dodać, że w końcu, dzięki starannej opiece doktora Munozą, zostałem nieomal całkowicie wyleczony z mej choroby. Wyglądało na to, że nie podrwiwał on ze średniowiecznych inkantacji, wierzył bowiem, iż owe tajemne, mroczne formuły zawierały rzadkie psychologiczne bodźce, które mogły wywierać niezwykle efekty na całość systemu nerwowego, skąd wypływały wszelkie impulsy organiczne. Poruszyła mnie jego opowieść o starym doktorze Torresie z Walencji, z którym dzielił niegdyś eksperymenty i który pielęgnował go podczas ciężkiej choroby przed osiemnastu laty, odkąd, nawiasem mówiąc, zaczęły się jego trwające po dziś dzień dolegliwości zdrowotne. Sędziwy praktyk

uratował swego kolegę po fachu, lecz niemal natychmiast sam zapadł na tę samą posępną, śmiertelną chorobę i został przez nią pokonany. Być może napięcie było zbyt wielkie – doktor Munoz stwierdził bowiem jasno – choć z pominięciem szczegółów – że metoda leczenia była doprawdy niezwykła, aczkolwiek niektórzy starsi i konserwatywni lekarze mogliby nie zaakceptować pewnych niezbędnych dla całości elementów terapii. W miarę upływu tygodni z żalem zauważyłem, że stan zdrowia mego nowego przyjaciela z wolna, acz regularnie ulega pogorszeniu, co wcześniej niejasno zasugerowała mi pani Herrero. Bładość jego lica stała się jeszcze bardziej uderzająca, głos bardziej pusty i niewyraźny, ruchy mięśni zatracaly koordynację, umysł zaś i wola zdradzały mniejszą bystrość, inicjatywę i elastyczność. Munoz również musiał chyba zdawać sobie sprawę z tej smutnej zmiany i powoli do jego zachowania oraz słów wkradła się posępna ironia, która ożywiła we mnie uśpioną dotychczas odrazę, tak wyrazistą podczas naszego pierwszego spotkania.

Odkrył w sobie dziwne kaprysy, zamiłowanie do egzotycznych pachnideł i egipskich kadzidełek, aż w jego pokoju zaczęło pachnieć jak w grobowcu jednego z faraonów z Doliny Królów. Jednocześnie wzrosły jego potrzeby zimnego powietrza i z moją pomocą rozbudował układ rur z amoniakowym chłodziwem znajdujący się w jego pokoju, zmodyfikował zestaw pomp i maszynę chłodzącą, dopóki nie udało mu się osiągnąć poziomu temperatury rzędu 34–40° F, a ostatecznie nawet 28° F. W łazience i laboratorium, rzecz jasna, panował nieco mniejszy ziąb, aby woda nie zamarzała i by proces chemiczny nie uległ zahamowaniu. Sąsiad z mieszkania obok zaczął skarżyć się na chłód bijący od przejściowych drzwi, toteż pomogłem doktorowi usunąć ową niedogodność, obwieszając ścianę łączną wyjątkowo grubymi, ciężkimi zasłonami.

Odniosłem wrażenie, że doktora Munoza ogarnia coraz większy, narastający z dnia na dzień lęk, najczarniejsza z możliwych, posępna groza. Bez przerwy mówił o śmierci, ale wybuchał pustym śmiechem, gdy padały wzmianki o rzeczach takich jak pogrzeb czy przygotowanie do pochówku.

Tak czy inaczej, jowialny ongiś lekarz stał się człowiekiem burkliwym, ponurym i nieprzyjemnym, ja wszakże, wdzięczny za uleczenie, nie mogłem go opuścić i pozostawić obcym, toteż każdego dnia przychodziłem doń, by posprzątać pokój i pomóc mu załatwić wszelkie codzienne potrzeby. Na te okazje zakładałem kupiony specjalnie, gruby, bardzo ciepły płaszcz.

Robiłem również dla niego sprawunki i aż otwierałem oczy ze zdziwienia, widząc, jak potężne baterie środków chemicznych zamawiał u aptekarzy i w magazynach laboratoryjnych.

Wokół jego mieszkania zaczęła narastać niewytłumaczalna atmosfera paniki. Cały dom, jak już wspomniałem, przesycony był odorem wilgoci, niemniej smród w pokoju doktora był o wiele gorszy i wyczuwalny, pomimo wszelkich wonności, kadzidełek czy silnych środków chemicznych, używanych podczas nie mających końca kąpiei, odbywanych uparcie w samotności, stwierdziłem przeto, iż fetor ów musi mieć jakiś związek z dręczącą Munoza dolegliwością, i wzdrygnąłem się, rozmyślając nad istotą jego choroby.

Pani Herrero przeżegnała się, kiedy na niego spojrzała, i opiekę nad nim przekazała wyłącznie mnie, zabroniła nawet swemu synowi, Estebanowi, załatwiać dla doktora codzienne sprawunki. Kiedy zasugerowałem sprowadzenie lekarza, chory nieomal wpadł w furję. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś równie wzburzonego. Najwyraźniej obawiał się fizycznych skutków swego brutalnego wybuchu, niemniej jego siła woli i poruszenie miast osłabnąć, jeszcze się wzmogły i stanowczo odmówił

położeni a się do łóżka. Zmęczenie będące skutkiem przewlekłej choroby ustąpiło na rzecz zapachu do pracy i ożywienia, powrotu do celu stanowiącego wykładnię jego życia. Wydawało się, że rzucił zuchwałe wyzwanie demonowi śmierci, nawet gdy ów prastary wróg ucapił go już w swe mordercze szpony. Symulacja spożywani a posiłków, która zawsze w jego przypadku wydawała się osobliwą formalnością, została całkowicie zarzucona; chyba już tylko mentalna moc chroniła go przed ostatecznym załamaniem.

Wyrobił w sobie nawyk sporządzania jakichś długich dokumentów, które starannie zapieczętowywał i przekazywał mi z zaleceniem, abym po jego śmierci doręczył je pewnym, ściśle określonym z nazwiska osobom – większość z nich zaadresowana była do Hindusów, ale jeden dokument miał trafić do rąk własnych sławnego ongiś francuskiego lekarza – powszechnie uważanego obecnie za zmarłego, na temat którego krążyły najróżniejsze, budzące trwogę, przekazywane najcichszym szeptem plotki. Kiedy to się stało, spaliłem wszystkie te pisma nie doręczone i nie otwierane. Jego wygląd i głos stał się wręcz przerażający, obecność zaś była nieomal nie do zniesienia. Pewnego wrześnieowego dnia na widok Munoz a mężczyzna, który przyszedł naprawić lampkę elektryczną na jego biurku, doznał ataku epilepsji. Lekarz, zniknąwszy mu z oczu, przygotował, rzecz jasna, lekarstwo, które w mig poradziło sobie z ową dolegliwością. Mężczyzna ten, i to chyba było najdziwniejsze, przeżył koszmar wielkiej wojny, nie doznawszy ani razu równie potężnego wstrząsu.

I nagle, w połowie października, nastąpiła niespodziewana jak grom z jasnego nieba kulminacja koszmarów. Którejś nocy, około jedenastej, zepsuła się pompa maszyny chłodzącej, tak że w ciągu trzech godzin proces oziębiania stał się niemożliwy. Doktor Munoz wezwał mnie, waląc w podłogę, i rozpaczliwie zabrałem się do dzieła, usiłując naprawić

uszkodzenie, podczas gdy mój gość klął w głos, w którym brzmiała niemożliwa do opisanego, martwa, grzechocząca pustka. Moje amatorskie wysiłki okazały się wszelako bezskuteczne, a kiedy z pobliskiego, czynnego całą dobę warsztatu sprowadziłem mechanika, okazało się, że do rana usunięcie usterki jest niemożliwe, gdyż konieczne jest zdobycie i zamontowanie nowego tłoka. Gniew i lęk posępnego odludka narosły do groteskowych rozmiarów, wydawało się, że lada moment jego wynędzniała cielesna powłoka rozleci się na kawałki. Nagle gwałtowny spazm sprawił, że mężczyzna przyłożył obie ręce do oczu i pognął do łazienki. Wychodząc, szukał drogi po omacku; twarz miał mocno zabandażowaną i nigdy już nie ujrzałem jego oczu.

Chłód w pomieszczeniu wyraźnie *tracił* na sile i około piątej nad ranem doktor powrócił do łazienki, nakazując, bym przyniósł mu tyle lodu, ile zdołam zdobyć we wszystkich dostępnych kafeteriach i drogeriach. Powracając z kolejnych wycieczek i pozostawiając zdobyty lód przed zamkniętymi drzwiami łazienki, słyszałem tylko niepokojący plusk dobiegający z wnętrza i ochryply głos skrzeczący ponaglająco: – Jeszcze! Jeszcze! – W końcu nastał ciepły dzień i otwarto kolejne sklepy.

Poprosiłem Estebana, aby pomógł mi, dostarczając lód, podczas gdy ja pojedę po pompę, albo by przywiózł pompę, a ja będę wciąż znosił do domu lód. On jednak zgodnie z zaleceniem matki stanowczo odmówił.

W końcu wynająłem mocno zaniedbanego nieroba, którego spotkałem na rogu Ósmej Alei, aby donosił pacjentowi lód z niewielkiego sklepiku, w którym go przedstawiłem, a sam zająłem się odszukaniem właściwej pompy tłoczącej i zaangażowaniem zespołu fachowców, którzy by ją zainstalowali. Zadanie to zdawało się nie mieć końca i wściekałem się niemal równie mocno, jak mój odludek, tracąc godzinę za godziną na bezskuteczne telefony i gorączkowe przemieszczanie się z miejsca na miejsce, zarówno

metrem, jak i samochodem. Około południa natrafiłem na właściwy sklep z częściami do maszyn, znajdujący się daleko w śródmieściu i około wpół do drugiej po południu wróciłem do czynszówki z całą pompą i dwoma krzepkimi, znającymi się na rzeczy monterami. Uczyniłem, co w mej mocy, i miałem nadzieję, że zdążyłem na czas.

Czarna zgroza najwyraźniej dotarła na miejsce przede mną. W domu panował nieopisany chaos, a pośród bełkotu przerażonych głosów usłyszałem głęboki bas jakiegoś modlącego się mężczyzny. Zło czaiło się w powietrzu, a mieszkańcy domu, przesuając w dłoni paciorki różańca, opowiadali, jak poczuli przeraźliwy odór bijący spod zamkniętych drzwi apartamentu doktora. Wałkoń, którego wynająłem, jak się okazało, umknął, krzycząc i tocząc obłąkańczo oczyma, niedługo po dokonaniu drugiej dostawy lodu – być może było to skutkiem jego nadmiernej ciekawości. Nie mogłem, rzecz jasna, zamknąć za sobą drzwi, a jednak teraz były one zamknięte na głucho – najprawdopodobniej od wewnątrz.

Ze środka nie dobiegał żaden odgłos z wyjątkiem jakiegoś nieokreślonego, powolnego plusku kapiących kropeł.

Po krótkiej konsultacji z panią Herrero i monterami, pomimo grozy zżerającej mą duszę, doradziłem, aby wyłamano drzwi. Właścicielka zdołała jednak jakimś dziwnym narzędziem z drutem przekręcić klucz w zamku od zewnątrz. Wcześniej pootwieraliśmy drzwi do wszystkich innych pokoi w korytarzu i okna na całą szerokość.

Teraz z chusteczkami przy nosach, na drżących nogach weszliśmy do przeklętego południowego pokoju, którego wnętrze skąpane było w ciepłych promieniach wczesnopołudniowego słońca.

Od otwartych drzwi łazienki ciągnął się dziwny, ciemny, śluzowaty ślad, prowadząc do drzwi na korytarz, a stamtąd do biurka, gdzie utworzyła się całkiem pokaźna, mrożąca krew w żyłach kałuża. Na blacie leżała kartka,

na której upiorna, prowadzona na oślep ręka nakreśliła pospiesznie krótki list. Papier był potwornie pomazany, jakby przez straszliwe szpony, które przesuwały się po kartce wraz z pozostawianymi na niej słowami. Stamtąd szlak prowadził do kanapy i tam też się kończył. Tego, co znalazło się lub znajdowało na kanapie, nie mogę i nie ośmielę się tu opisać. Oto jednak, co udało mi się nie bez trudu odczytać z usmarowanej lepką mazią kartki papieru, zanim zapaliłem zapałkę i zmieniłem ją w popiół; oto, czego dowiedziałem się, zdjęty grozą, podczas gdy właścicielka i dwaj mechanicy wybiegli jak szaleni z tego piekielnego pokoju, by przeraźliwie bełkocząc, złożyć na najbliższym komisariacie nieskładne, mętne zeznania.

Owe upiorne słowa w złocistych *promieniach* słońca wydawały się wręcz niewiarygodne, gdy odczytywałem je przy wtórze ryku aut i ciężarówek sunących hałaśliwie wzdłuż zakorkowanej Czternastej Ulicy, niemniej przyznać muszę, że nawet wtedy uwierzyłem w ich prawdziwość. Czy wierzę w nie teraz – szczerze mówiąc, nie wiem. Są rzeczy, o których lepiej nie debatować i jedyne, co mogę powiedzieć, to, że nie cierpię woni amoniaku, a nagły podmuch zimnego powietrza nieomal przyprawia mnie o omdlenie.

„To już koniec – brzmiały słowa nagryzmołone drżącą ręką. – Nie ma już lodu, a dostawca tylko raz rzucił na mnie okiem i uciekł. Z każdą minutą jest coraz cieplej, tkanki nie wytrzymają długo. Przypuszczam, że wiesz – to, co mówiłem na temat woli, nerwów i konserwacji ciała, kiedy organy przestają funkcjonować. To była dobra teoria, lecz nie dało się podtrzymać procesu w nieskończoność. Następowало stopniowe pogorszenie, zepsucie tkanek, którego nie przewidziałem. Doktor Torres wiedział o tym, ale zmarł wskutek szoku. Nie mógł znieść tego, co musiał uczynić. Jeśli miał postąpić zgodnie z moimi zaleceniami, powinien umieścić mnie w jakimś specyficznym, ciemnym miejscu, gdzie mógłbym

odzyskać zdrowie. Organy, które raz wysiadają, nie zaczynają ni stąd, ni zowąd działać od nowa. To musiało być zrobione po mojemu – w grę wchodziła tylko sztuczna konserwacja – bo widzisz, ja nie przeżyłem tej choroby, umarłem równo osiemnaście lat temu”.